



Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy im. W. Stefanyka.

Odział Rękopisów

Zespół (fond) 9

ZBIÓR RĘKOPISÓW RÓŻNEJ PROWENIENCJI

1732. Orkan Władysław, Opowiadania:

„Zła ziemia” 1925 , k.21; „Orby ?” XXw.,

j.pol., autograf, XXw.



STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівський біб-ка АН УРСР
О/н-1732

Оркан Вледислав
(Оркан Вт.)

Оповідання :

1. "За хіме"

2. "Орты"

1925

Б.м. и. н. н.

21 арк.

70

Львівська бібліотека ім. Ш. Ш. Ш.
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ
№ 0/n-1732

Władysław Orkan

1. Hta rima
2. Orty

~~6007~~ 1.

Źła zima.

Źazwyczaj zima w górach daje się ludzicom jak i zwierzyńcu we znaki; lecz takiej zimy, jaka w tym czasie, o którym ninie mówimy, nastąpiła, nie pamiętali najstarsi gazdowie. Była to, w całym tego słowa znaczeniu, zła zima.

Spadł odrazu na Wszystkich Świętych śnieg wielki i sypał przez dni następne bez przerwy, tak, iż widziało się wszystko w śnieżnej pograży zatonię. Łacem przyszła zawierucha, jeżo dąć śniegiem lecącym i spadłym — jedna biel wirująca podniosła się od ziemi

do nieba. Trwała ta zamieć dni kilka; a gdy się w końcu uciszyło i rozjaśniło nieco, przedstawili się zdumieniu świat przeinaczony... Śdzie były poprzód doliny, ki, tam wzgórze białe - płotów jak miedz wysokich ni śladu - koło ścian szanice, sięgające strzechy - każdy pień w sadzie odęty naokół, jakby wyrastał ze studni, a drzewa w pół skrócone; śniegu w zwyż do paru metrów.

Od izb do stajen, by się dostać, rozkopy musiano czynić w zaspach i tunele; toż samo i do studzien. Z osiedla do osiedla śladów nie uswiadczył - ani gadki, by się kto mógł przez topiel zaspów prze, kopać. Do tego mróz siarczysty chwycił. Zamknęło ludzi w domach.

Stactwo przeniosło się w niższe oko, lice, by łatwiej jakie pożywienie znaleźć,

a wierne górom trznadle i sikorki cisnęty się do stodoł i sieni.

Zwierzyzny lesnej ani słychu. - Zając gdzieś w szczelinie zaspu pod jałowcem znalazł przygodną schronę. Wiewiórki tkwiły w swych mchowych pościelach, futerkami ogonów nakryte. Kuna też nie wychylała się z zarendowanego wiewiórczego gniazda, w czasie swój mufek po wczasy łśniące schowana. Lis zaszył się na poścień jamy, kontentując się dogryzaniem pozostawionych z lepszych czasów kości. Borsuk w marcu twotę zapadł w swojej norze, tłuściością wiasną sycony.

Dziki i sarny, które zima, raptownie zwalona, zastała w górnych nbozach, nie mogły już z powodu zaspów niebywałych dostać się w niższe, mniej srogie rejony i skazane były na przetrwanie, aż się odwilż przystępna uczyni. Gdzie

je czas okrutny zapadł, tam trwały. Pojedynką lub w zbitych gromadkach stały koło pni pod strzechą konarów, szukując głód zmarzliną, mchu, korą z drzew, i czem mogły.

Tak pod schroną rozłozystej jodły na skraju schyłnej polanki skupiło się stadko małe: rogacz i trzy siutki; z tych jedna malionka rogacza i dwie ich roczne latkorosle. Odęto ich naokół. Zamknięta ściana śniegu widziała się ścianą studni, na której dnie się znalazły.

Zrazu było im nic. Odgrzebywały ratkami śnieg i dostawały z pod ścieli zamarłej resztki jesienniej trawy, płatki mchu, igliwie cetyny, a nadzieja tkwiła jeszcze w ich siłach.

Lecz mijał dzień po dniu, a znikąd żadnej odmiany, ba, coraz zimniej i ~~siabiej~~ głodniej. Co mogły z dna zdobyć, spożyły - została jeno ziemia szciera, na którą przez noc parę zmarzła.

Tedy, gdy siod dopiekał, poczęły wgrzyzać się, kana kore z pnia jodły. A gdy wnetrze paliło pragnieniem, jadły śnieg, który ogień gasił. W czasie długich, mroźnych nocy tuliły się do siebie i, grzejąc się swym ciepłem, trwały w pół-śnie, pół-jawie.

Przyniły dni cięższe. Kory już na pniu nie stało. Siod począł ślabić je w rogach. Najmłodszą siołka wsunęła się na ziemię. A dwie pozostałe woczy, pytaniem błagalnym, zwróciły na rogacza, na opiekuna je, dywego. - Sam pojął tę ich prośbę, sam uważił, że to już ostateczny kres. Trzeba znaleźć jakąś radę. Sdyby do lasu młodego na dół się przedostać - tam łatwiej dałoby się przetrwać. Ścisze tam nizko zwisające, cetyna młoda, pachnąca... Tam siołki swe przewidzie.
 - Tam siołki swe przewidzie. Naprzód musi tor zrobić, swą pierśią...

Rzucił się w ścianę śniegu - lecz owinął się z powrotem. Nie dając za wygraną, wrył ma siatek zachęcany, powtórzył próbę raz drugi i trzeci... Za czwartym razem ugrzązł w zaspie, i całego wysiłku musiał użyć, by się wydobyć z powrotem. O przedostaniu się dalej ani mowy. Spuścił głowę ku ziemi, na znak swej bezrady.

Minęło sroziej niedoli dni parę. Mroz się wzmagał. Stadko, osłabłe, już tylko śniegiem, skubanym ze rzadka, zastania, to straszny docisk głodu. - Coraz dłużej opierały się zciżnięte główki wzajemnie na ryjoch, coraz smutniej patrzyły na siebie studzienki ocz. Fatum blizkiego końca zawisło nad stadkiem onem. - Minęło znów dni kilka bez odmiany.

Wreszcie nadszedł dzień, gdy najmłoś, dwa ze siatek, kiedy tamte powstały,

jui nie dzwignęła główki. Zbliżyła się ku
 niej matka i pocięła ją trącając lekko
 nożką. Pociem, zrozumiałszy, oczy rozpacz,
 nie obróciła na ojca-rogacza. I druga
 córka nań spojrzała, a w oczach jej był lęk
 i wołanie nieme o ratunek.

Ryknął sarn, jakby w serce strzalał
 ugodzony, rozpacz pchnięty, runął
 w zasyp śnieżyny... Utonął zaraz, lecz
 nie dał się pograzić. Pociął podwajać
 skoki i parł piersią, garnął puszysty
 śnieg przed sobą, co chwila zapadając
 i wyciskując się przemocą w górę. -
 Chciał masę śnieżną wciąć pod siebie,
 czynił wszystkie szalone, by się nad nią
 wydostać, lecz wielka masa puszysta
 wciągała go jak woda. Pociął narencie
 pływając...

Niósł rosochatą głowę jak mógł

najwyżej, a nogami przebierał, prui za-
spy rozpaczną zaiscie siła.

W pewnym momencie obrócił głowę
za siebie - uczynił jui tor spory od
jodły... Obaczył swoje dwie siutki, jak się
zabrały za nim, lecz, osłabie, ustały wnet
i musiały się cofnąć.

— Przetoruje im drogę podwójnie: wróci
po nie...

Pewny zwycięstwa, począł płynąć przez
polankę dalej. Lecz opór był nadmierny.
Długo godziny usił, nim dobrnął
na środek.

Odpozął moment - i znów ruszył
naprzed... Natrafiał na głębinę, w któ-
rych nogi dna nie dostawały - osuwał
się - a oczy śnieg mu zasypywał. Par-
skał tedy, wyrzucił sobą w górę, brał
pod się puszyste fale - i płynął, płynął,
płynął...

Na tem białem jeziorze polanki zdawał się jak łódź lyskliwa, za którą szlak dłu, gi sinieje.

Już przepłynął część większą - już, już skraj leśny niedaleko... zwycięstwo...

Znowu zapadł na głębi. Śnieg na oczach. Czyni wysiłki okrutne, lecz nie może opanować chłonnaej gorysyńskiej, białej masy. Siły, rozpaczą dobyte, wyczerpały się w przemęce.

Próbuje wrócić - na nic - masa ciężka nie puszcza, pęta nogi, całe ciało zesłabie w kleszcze zimne zagarnia.

Ostatkiem jeszcze siły wyrzucił głowę w górę - i zniemuchomiał w zaspie.

.....

Na drugi dzień ślad już prietoru nie ostał: zarównało go nocą. ~~Wspania~~,

Wspaniałe jeno rogi rosochate,

wniesione ponad śnieg, świadczyły, gdzie
ustał wczoraj rogacz.

Gdy słońce wyszło nad polankę i szronem
osypane łatorosłe rogów oświeciło — za-
kwitły ~~pod~~ ogniem przedziwnem, jakoby
z bajki wyjawiony, bezcenny Krzew po-
święcenia.

Porsze Wielka, dnia 20. sierpnia 1925 r.

Władysław Orkan.

Orły

Na baszcie niedzickiego zamku, nad Du,
najciem, naprzeciw ruin Czorsztyna, gdzie
zdziała się od lat wielu para królewskich
orłów. Stąd, z tej wysokiej strazy nadgranicz,
nej panowała nad całym Spiszem.

Stąd czyniła wyprawy powietrzne po na,
leina jej z ziemi tej daninę. Nie wybierała
jej jednak, podług tradycyjnych wskazań, z oko,
licznych wsi: aby gdzieś i pomsty wsąsiedz,
twie tak bliskiem, żeby bezpieczy gniazda za
grazało, nie wynosiwać - lecz zapuszczało się
jedno lub drugie w swych wycieczkach daleko
na południe, aż poza Kieżmark, Podoliniec,
w słowackie niznie dziedziiny, i stamtąd ra,
bowało sobie prawem orłem naznaczony
haracz.

W dni deszczowe, zamglone, siadywały w po,
sępie na krawędzi baszty i, chmury w wro,

kiem pozierając zgóry, ostrzem dziobów gła, dziły nastroszone pióra. - Zaś, gdy rano się otwarło słoneczne, i granie Tatr wysokich rysowały się na czystym bez chmurki błęki, cie, tedy, przestworem pogodnym ciągniome, porwały się samolotnie z baszty, wzbijały się ku niebu wysoko i nad ponizoną ziemią majestatycznie zataczały koła.

W promieniach ich podniebnego wzroku zieleniło się wdzięczną mapą u dole całe ich królestwo spiskie: od sinych zwalisk Tatr po białowe Pienniny - od węzowego zakola Dunajca po łśniącą wstęgę Popradu. Władnym, przetrładnym wzrokiem toczyły po swej ziemi, a zaś ^(pagórami, wzgórzami, dolinami) ponizony, w równię zapadły kraj - gdy ponad nim szerokie zataczały kręgi - harmonia, zdało się, ich widokiem. Ludzie, pracujący w polu, prostowali plecy swe z nad ziemi i, stoniąc oczy dłońią przeciw słońcu, śledzili wzrokiem podziwu ich królewskie zaiste okręta.

- To wej wspaniałały ptak! - mówili u dumie. - Jak se han po niebie pływie...

Kije zdradliwe - byleby jeno upatryć od,
 powiedni łup... Zoczył wreszcie dwa ja,
 snięta, przyostające po boku. Jedno
 z nich sobie naznaczył i już miał je
 na celu źrenicy. Kiedy, kołując coraz
 waziej, znalazł się prosto ponad niem,
 stulił raptownie skrzydła i pioru,
 nem szumigcym spadł na nie. Wmig
 poderwał się od ziemi z wiszącym
 w szponach. Jeszcze nie obit się w gó,
 re, kiedy huk wypadł z nienacka,
 i wraz łoskot bolesny przeszył mu
 skrzydła. Posypały się pióra... Kiedy
 huk drugi dobiegł z ziemi, był już
 z łupem ~~daleko~~ wysoko.

Odtąd orzeł nasz swankował na
 zdrowiu. Mógł jeszcze unosić się
 na falach powietrza, ale już nie,
 pewnie, chwiejnie, jak areoplan o

zwichniętem skrzydle; o dalekich, zdo-
bycznych wyprawach nie mogło już być
mowy.

Cały trud dożywiania orląt spadał
teraz na orlicę. Co rano szybowała
ku spichrzom południa i powra-
cała wczesniej, północy - nigdy z pró-
żnymi szpony.

Kiedy jednego dnia zabawiła dłu-
żej na południu i wracała do gniaz-
da ze zdobyczą koło śródnocierz, zda-
ła już, nadpływającą, uderzyć widok
dymu skiełbionego nad bastą zamku.

Tknięta trwożą, pomknęła chyżo, co-
sił w skrzydłach. Nie było już wą-
pliwości: pożar obijał bastę. ~~W~~
Wizja ta przez dym latającego
w oszaleniu orła, wydającego dziwne
skwirny trwoży. Pusciała ze szponów

Łup i sama wpadła w gęstą chmurę
dymu.

- Piśkleta!..

Dojrzała je przez rdzawy dym w gnile,
łdzie, które jej języki płomienia mu,
skały. Wydała krzyk krótki, ścinają,
cy krew, i na ślepo rzuciła się ku
nim... Chwyć je w spony i wyrwać
w górę z otoczy płomieni było je,
dnem - przed śmiercią - mgieniem.
Zaskwiercały pióra od gorąca - zer
oczy skrwawił. Nic to - przebiła się
jej z niemi przez noc dymu, wynio,
sta je na powietrze i opodalnie w le,
sic na mchu wilgotnym ziozycia.
Stwierdziła w szczytciu, że żyją. Oczu,
drone dymem i gorącym chłód po,
wietrza otrzeźwił.

Zleciej tej ku nim orzeł-inwa,

lida. Dużo było milerszej powieści. —
Po naradzie krótkiej zabrali piśki.
ta razem i przenieśli je ze Dunajec
do ruin Czorsztyna. Tu założyli na
nowo osiedle. Stąd starostują dalej
nad ziemią spiżką.

M. Orkan.

(... mnożyto wyprawami swemi na południe chwagę niedzickich ortów.)

Z dobrej się królewskiej parze ortowy, nad Spiszem panującej, wiodło. Widziało się, że szczęście, mowenym sprzyjające, na stałe przy niej siedło. Aleć wiadomo, że ~~ich~~ panujących ślepy grot to, su nie omija.

W jedno pogodne rano wrzeł, na którego wypadła kolej zdobycia obiadu, porwał się z poszumem z baszty i popłynął z wyprzedzeniem swym ku południowi. Mijały się oczom jego łęgie w polninie w dole i w opyli słońca zatoniły na pagórze spiskie, doliny - na prawo zaś spietrzały się w górę ostrymi ząbkami granity Tatr, i stał samotnie na uboczu groźny cień rzucający Muran.

Przypomniało się płynącemu podniebnie orłowi, jako niedawnym cza

sem jagnię przysiadł na zboczach Murawia. Pies-owczarek zrobił chark, juchasi przypadli - a on je im na oczach w powietrze unosił.

- Możeby zboczyć... Znajdzie się zape, wne jeszcze... i byłoby bliżej do obiadu.

W tej myśli odmienił ster w kierunku na zachód i wnet nadpłynął nad ścięte stocza Murawia. Począł zataczać koła, wypatrując z góry. Wyrwał na zielonym upłacie, ziele wce białe, cały ick rozsypany kicrdel, niby kamyczki ruchliwe. Opuścił się w okrajinie i sledził je dokładniej lunetami bez. Pilnowało je, widział, dwóch juchasów: jeden ciałę, pasę dzierzył w ręku, drugi zes' połykajscy, strzałonosny kij. Nic sobie nie robił z tego, choć znał te

A one płynęły istnie, jak admirałskie przepyszne okrety po morzu niebios. Płynęły po błękitnie, poświecając w słońcu, jak dwa ciemne obłoki, bez celu.

Nieraz znów głód je i troska o wręta młode do kołowania celowego zmuszał. Wtedy odbi-
jały się daleko od gniazda, szybowały utarte,
ni szlaki na południe i tam nad ~~prosto~~,
czą dolin, nad dziedzinami słowackimi to,
czyły koła śledzące, wypatrując z wysoka ży-
winy. - Ludzie tu już nie stawili ich wład-
nych okrągach, lecz je jak manewry wrogie
traktowali.

- O, patrzcie! - wskazywali w górę na kołują-
ce. - Już po podatek przybyły... Już upatrują,
rabuszniki, co w swe szpony by porwać.

Choć w rzece - co się w osiedlach koło ogro-
dzeń kręciło, żadna z tego wrętom naszym
korzysta. Święcie, kurczęta, kury - za licha to
dla ich trudu zdobycz. Te zostawiały czeladzi
swej: jastrzębiom i krogulcom. Co innego,
gdy się zabieliło na pastwisku kiedyś jasnie
młode - gdy się ukazał zajęc v polu lub za,

czervienił się lis przemykający - gdy sarnięta
 wyszły na polankę... wtedy orzeł czy orlica.
 (które z nich koło ponadtem toczyło) sięgało
 raptem wiechy skrzydeł i straciła prosto spa,
 dało ku ziemi po upatrzony łup. Porывało
 go w straszne kleszcze szponów i najkrót,
 szym szlakiem spieszyło do gniazda z cią,
 żącą w onych zdobyczą. Tu na nią czekały
 ostre haki dziobów, zdaleka się już przy
 zbliżającym się, znanym szumie skrzydeł
 łakomie roztwierające.

Kiedy młode orlęta opierzyły się na tyle,
 że wyrosły im długie lotki skrzydeł, wów,
 czas rodzice wywoływali je z gniazda i za,
 prawiali w ćwiczeniach do lotu. A skoro
 już widzieli, że samotne dadzą sobie ra,
 dę, wtedy wypuszczali je z pod swej opieki.
 I widać było z pobliza Niedzicy, jak toczy,
 ły godzinami niesmiałe jaszczere na powie,
 trzu koła, z oczekującym kwileniem: „
 „U-li! U-li!” - aż je w końcu głód doskwie,
 rający do przedsiębiorczości samodzielnej

Zmusił.

Co rok wylatywało z basty zamku nowe pokolenie, które zakładało w pobliskich Piecinach, w lasach Felsztyna lub w tatrzańskich turniach swoje wysokie osiedle i mnożyło wyprawami swemi na południe chwastę nie, dzickich wrów.

Para Królewska, w Niedzicy ^{spozostajęca} stolicujęca, dzierżyła wciąż nad polskim Spiszem berło. I dobrze jej się wiodło. Widziało się, że słyszcie, mocnym sprzyjające, na stałe przy niej siadło.

Ai przyszedł rok fatalny..

Coś się w ich królestwie spiskiem poręło psuć. Jakies niezwykłe poruszenie wśród ludności - zgromadzenia liczne po dziedzinach - przejazdy furmanek ciężkich - przemyskania szosą ~~autobusów~~ ^{samochodów} - dały się zgóry ocerom cel bystrym uważać. Dziwowały się tym zmianom, nie mogąc przetrwać przyczyny. (Wielki orlą prostostć pierwotnego prawa nie mogła wciąż szyć się przecie wiedza plebiscytu). Aż ci dnia jednego, gdy kołowały wysoko, zanwały, ty tu i tam na otwartej w dole mapie

